

JOE HILL



DZIWNA POGODA

1

Shelly Beukes stała na końcu podjazdu i mrużąc oczy, wpatrywała się w nasz dom z różowego piaskowca, jakby nigdy wcześniej go nie widziała. Miała na sobie trenecz, który dobrze wyglądałby na Humphreyu Bogarcie, a w ręce dużą płócienną torbę z wzorem w ananasy i tropikalne kwiaty. Na pewno nie szła do supermarketu, nawet gdyby jakiś był w pobliżu, a żadnego nie było. Dopiero kiedy dobrze się jej przyjrzałem, zrozumiałem, co nie pasuje do tego obrazka: zapomniała butów i jej stopy były tak brudne, że prawie czarne.

Siedziałem w garażu i uprawiałem naukę – tak mój ojciec nazywał to, co robiłem, gdy psułem działający odkurzacz albo pilota do telewizora. Więcej niszczyłem, niż budowałem, chociaż raz udało mi się podłączyć dżojstik Atari do radia i naciskając przycisk FIRE, mogłem przeskakiwać między stacjami. To była dość prymitywna sztuczka, ale zrobiła wrażenie na sędziach podczas targów naukowych w ósmej klasie i dostałem niebieską wstęgę za kreatywność.

Tego ranka, kiedy Shelly pojawiła się na dole podjazdu, pracowałem nad moim pistoletem imprezowym. Wyglądał jak maszyna z pulpowej powieści science fiction, służąca do wytwarzania promieni śmierci: wielki róg wyszczerzonego mosiądzu z kolbą



i cynglem od lugera (tak naprawdę, żeby zrobić korpus, zespawałem razem trąbkę i pistolet zabawkę). Ale gdy tylko pociągnęło się za spust, buczał jak trąbka pneumatyczna, zapalały się lampki, a ze środka wylatywał rój konfetti i papierowych wstążek. Miałem nadzieję, że jeśli wszystko dobrze przygotuję, tata i ja zaniemiemy go do fabryki zabawek, a może nawet uda nam się sprzedać patent sieci Spencer Gifts. Jak większość młodocianych inżynierów, uczyłem się, wprowadzając w życie sztubackie żarty. Pokażcie mi choć jednego faceta pracującego w Google'u, który nie marzył o skonstruowaniu gogli połączonych z rentgenem, żeby zaglądać dziewczynom pod spódnice.

Wycelowałem lufę mojego pistoletu w kierunku ulicy i wtedy zauważyłem Shelly, dokładnie przede mną. Odłożyłem blaster i zmrugałem oczy, by jej się przyjrzeć. Widziałem ją, ale ona mnie nie. Dla niej wnętrze garażu było nieprzeniknione, jak czerń otwartego szybu kopalni.

Miałem zamiar zawołać, ale spostrzegłem jej stopy i tylko zasłałem powietrze. Nie odezwałem się, po prostu patrzyłem. Jej wargi poruszały się. Coś do siebie szeptała.

Obejrzała się w stronę, z której przyszła, jakby w obawie, że ktoś się na nią zaczął. Ale na drodze była sama, a powietrze stało wilgotne i nieruchome pod pokrywą z zachmurzonego nieba. Pamiętam, że wszyscy sąsiedzi wystawili na dwór śmieci, śmieciarki się spóźniały i cała alejka śmierdziała.

Prawie od razu wiedziałem, że nie wolno mi jej przestraszyć. Nie było powodu, żebym zachowywał ostrożność... ale ten pierwotny umysł, który nie ma nic wspólnego ze świadomym rozumem ani racjonalnym myśleniem i który podprogowo analizuje mnóstwo niedostrzegalnych informacji – ten umysł często wie lepiej.

Dlatego kiedy ruszyłem w dół podjazdu, zaczępiłem kciuki o kieszenie i nawet na nią nie spojrzełem. Gapiłem się w horyzont, jakbym obserwował samolot lecący daleko po niebie. Podeszedłem do niej tak, jak podchodzi się do zabłąkanego kulawego psa, co to

może polizać ci rękę z nadzieją, ale może też rzucić się na ciebie z podwiniętą górną wargą i obnażonymi kłami. Nic nie mówiłem, dopóki nie znalazłem się na odległość ramienia.

– O, pani Beukes! Dzień dobry – odezwałem się, udając, że dopiero teraz ją zauważyłem. – Wszystko w porządku?

Odrzuciła głowę w moją stronę, a na jej nalanej twarzy pojawił się spokój.

– Ojej, wszystko mi się pokręciło! Przyszłam tutaj, ale sama nie wiem po co. To nie jest mój dzień sprzątanania.

Tego się nie spodziewałem.

Kiedyś, dawno temu, Shelly pucowała, odkurzała i porządkowała nasz dom przez cztery godziny w każde wtorkowe i piątkowe popołudnie. Już wtedy była stara, chociaż ciągle miała rześkość i siłę olimpijskiego mistrza curlingu. W piątki zostawiała nam mięciutki, nadziewane daktylami ciasteczka zabezpieczone folią Saran Wrap. Och, cóż to były za ciasteczka! Teraz już nigdzie nie można takich dostać i żaden crème brûlée z Four Seasons nie smakuje tak do herbaty.

Tylko że to był sierpień 1988 roku, za kilka tygodni miałem rozpocząć liceum, a Shelly, choć sprzątała u nas przez pół mojego życia, wówczas już tego nie robiła. Przestała pracować, kiedy w 1982 roku założyli jej trzy by-passy, a lekarz powiedział, że powinna więcej odpoczywać. Od tego czasu odpoczywała. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale tak naprawdę nie wiadomo, po co w ogóle podjęła tę pracę. Nie potrzebowała pieniędzy.

– Pani Beukes? Może mój tata poprosił, żeby pani przyszła i pomogła Marie?

Marie była jej następczynią, rosłą, niezbyt bystrą dziewczyną po dwudziestce, głośno się śmiejącą i z pupą w kształcie serca, która stanowiła pożywkę dla moich fantazji podczas conocnych ceremonii trzepania wacka. Mojemu ojcu w życiu nie przyszłoby do głowy, że Marie może potrzebować pomocy. A o ile było mi wiadomo, nie spodziewaliśmy się gości. Nigdy ich nie miewaliśmy.



Uśmiech Shelly przybladł na chwilę. Obejrzała się przez ramię, na drogę. Gdy znowu na mnie spojrzała, jej twarz nie była już pogodna, a w oczach lśniło przerażenie.

– Nie wiem, chłoptysiu... może ty mi powiesz. Miałam umyć wannę? Pamiętam, że nie dałam rady tego zrobić w zeszłym tygodniu, pewnie jest nieźle zapuszczona – wymamrotała do siebie, miętosząc między palcami materiał torby. Zerknęła na mnie i jej wargi zacisnęły się z frustracji. – Nożeż do diabła! Pieprzyć to. Wyszłam z domu i zapomniałam pierdolonego ajaxu.

Zamrugalem. Chyba nie zdziwiłbym się bardziej, gdyby rozchyliła płaszcz i pokazała, że pod spodem jest goła. Shelly Beukes nie była sztywną paniusią – pamiętałem jeszcze, jak sprzątała nasz dom w podkoszulku z Johnem Belushim – ale nigdy nie słyszałem, żeby użyła słowa „pierdolić”. Nawet „pieprzyć” to było jak na nią za dużo.

Shelly nie zauważyła mojego zdumienia i mówiła dalej:

– Powiedz tacie, że wanną zajmę się jutro. Wystarczy mi dziesięć minut i będzie lśniła, jakby nikt nigdy nie usadził tam swojej dupy.

Jej płócienna torba otworzyła się. Zajrzałem do środka i zobaczyłem poobijanego, brudnego krasnala ogrodowego, kilka pustych puszek po napojach gazowanych i jednego starego adidasa.

– Już lepiej pójść do domu – odezwała się nagle Shelly, prawie jak robot. – Afrykaner będzie się zastanawiał, dokąd poszłam.

Afrykaner to był jej mąż, Lawrence Beukes, który przyjechał z Kapsztadu jeszcze przed moim urodzeniem. W wieku siedemdziesięciu lat Larry Beukes był jednym z najpotężniej zbudowanych mężczyzn, jakich znałem; z wyrzeźbionymi ramionami i żyłami na szyi wyglądał jak były kulturysta, jak siłacz z cyrku. Musiał tak wyglądać, to był jego służbowy obowiązek. Zbił majątek na sieci siłowni, które otworzył w latach siedemdziesiątych, kiedy karierę rozpoczynało naoliwione, zdumiewające cielsko Arnolda Schwarzeneggera. Larry i Arnie kiedyś pojawili się razem w jednym kalen-

darzu. Larry był lutym i rozciągał się na śniegu, nie mając na sobie nic oprócz malutkiej, czarnej pieluszki na jaja. Arnie był czerwcem: lśniąc, stał na plaży, a na każdym gigantycznym ramieniu trzymał dziewczynę w bikini.

Shelly jeszcze raz zerknęła przez ramię, a potem odeszła, powłócząc nogami, w kierunku, który wcale nie prowadził do jej domu. Gdy tylko odwróciła głowę, zapomniała o mnie; można to było poznać po wyrazie jej twarzy. Zaczęła poruszać wargami, szepcząc do siebie cichutkie pytania.

– Shelly! Czekaj, chciałem zapytać pana Beukesa, czy... o... – Próbowałem wymyślić jakiś wspólny temat, który pan Beukes i ja moglibyśmy mieć do rozmowy. – Czy nie potrzebuje kogoś do koszenia trawnika? Czy masz coś przeciwko temu, żebym poszedł z tobą do domu?

Chwyciłem ją za łokieć, zanim zdążyła ruszyć dalej. Podskoczyła, jakbym podkradł się znienacka, zaraz jednak uśmiechnęła się wyzywająco.

– Mówiłam staruszkowi, że musimy zatrudnić kogoś do ciecia... – Jej oczy przygasły. Nie mogła sobie przypomnieć, co trzeba było ściąć. W końcu potrząsnęła lekko głową i powiedziała: – ...tego czegoś, już od dawna. Chodź ze mną. I wiesz co? – Pacnęła mnie w dłoń. – Chyba mam trochę tych ciasteczek, które lubisz.

Puściła oko i przez chwilę byłem pewny, że mnie rozpoznaje, a nawet wie, kim sama jest. Shelly Beukes oprzytomniała, by po sekundzie znów odpłynąć. Widziałem, jak opuszcza ją świadomość, jak jej wewnętrzne światło staje się słabą poświatą.

Więc odprowadziłem ją do domu. Miałem wyrzuty sumienia, bo musiała stąpać bosymi stopami po gorącej drodze. Było duszno, latały komary. Po jakimś czasie zauważyłem, że twarz kobiety poczerwieniała, a na jej starczych wąsach pojawiły się kropelki potu. Pomyślałem, że powinna zdjąć płaszcz, chociaż – przyznając – przemknęło mi przez myśl, że naprawdę może nie mieć nic pod spodem. Była tak skołowana, że nie mogłem tego wykluczyć. Ale



przełamalem się i spytałem, czy mogę ponieść jej trencz. Pokręciła szybko głową.

– Nie chcę zostać rozpoznana.

To było tak cudownie zwariowane, że na moment zapomniałem o całej sytuacji i odpowiedziałem, jakby Shelly ciągle była tą osobą przy zdrowych zmysłach, która lubiła teleturnieje i z brutalną determinacją czyściła piekarniki.

– Przez kogo? – spytałem.

Pochyliła się w moją stronę i prawie wysyczała:

– Przez Pana Polaroida. Tę przebiegłą łasicę w kabriolectic. Zawsze robi zdjęcia, kiedy Afrykanera nie ma w pobliżu. Nie wiem, ile już zabrał tym swoim aparatem, ale na więcej mu nie pozwolę. – Złapała mnie za nadgarstek. Jej ciało wciąż było otyłe, z dużym biustem, rękę jednak miała kościstą i szponiastą jak u czarownicy z bajki. – Nie pozwól się sfotografować. Nie daj mu niczego sobie zabrać.

– Będę miał na niego oko. Ale naprawdę, pani Beukes, zagotuje się pani w tym trenczu. Poniosę go, dobrze? I razem będziemy uważać na tego faceta. Wskoczy pani w płaszcz, jak tylko ten koleś się zbliży.

Odchyliła głowę i zmrużywszy oczy, przyjrzała mi się, jakbym był dopiskiem drobnym drukiem w podejrzanej umowie. W końcu westchnęła, zrzuciła płaszcz i podała mi go. Pod spodem nie była co prawda goła, ale miała na sobie czarne gimnastyczne szorty i podkoszulek włożony tyłem do przodu i na lewą stronę, z metką powiewającą pod podbródkiem. Jej nogi były wężłaste i szokująco białe, łydki poprzecinane żyłakami. Przewiesiłem sobie przepocony i pomięty płaszcz przez ramię, podałem jej rękę i ruszyliśmy.

Drogi w Golden Orchards, naszym małym osiedlu na północ od Cupertino, wiły się jak zapętlone liny, ani jednego prostego odcinka. Na pierwszy rzut oka domy wyglądały na zbudowane w najróżniejszych stylach – tutaj hiszpański stiuk, tam kolonialna cegła. Jeśli jednak spędziło się w okolicy trochę czasu, dało się zauważyć,

że za każdym razem był to mniej więcej jeden i ten sam dom – ten sam układ wnętrza, ta sama liczba łazienek, okna w takim samym guście – przebrany w rozmaite kostiumy.

Dom Beukesów naśladował styl wiktoriański, ale motywem przewodnim była plaża: w cementową ścieżkę wiodącą do schodków wciśnięto muszle, a na frontowych drzwiach wisiała wypłowiała rozgwiazda. Może siłownia pana Beukesa nazywała się Fitness Neptun albo Atleci z Atlantydy? A może był to jakiś żarcik z maszyn do ćwiczeń Nautilus? Już nie pamiętam. Wiele z tego dnia – piętnastego sierpnia 1988 roku – ciągle tkwi w mojej pamięci, ale chyba nawet wtedy nie wszystko było dla mnie jasne.

Podprowadziłem ją do drzwi i zapukałem, a następnie zadzwoniłem. Chociaż był to jej dom, czułem, że nie mogę tak po prostu jej tam zostawić. Pomyślałem, że muszę powiedzieć Larry’emu Beukesowi, gdzie się podziewała, i dać mu do zrozumienia – w jakiś niezbyt krępujący sposób – że nieco pomieszało jej się w głowie.

Nic nie wskazywało na to, że Shelly rozpoznaje swój dom. Stała u podnóża schodów, rozglądała się na boki i cierpliwie czekała. Kilka chwil wcześniej sprawiała wrażenie przebiegłej, nawet trochę groźnej. Teraz wyglądała jak znudzona babcia chodząca od drzwi do drzwi ze swoim wnuczkiem skautem, dotrzymująca mu towarzysztwa podczas sprzedaży subskrypcji czasopism.

Trzmielę zanurzały się w pochylonych białych kwiatach. Pomyślałem, że Larry Beukes chyba rzeczywiście powinien wziąć kogoś do przycięcia trawnika. Podwórko było zaniedbane i zarosnięte, wszędzie sterczały mlecze. Ścianom przydałoby się mycie pod ciśnieniem, pod okapem widać było plamy grzyba. Dawno tam nie zaglądałem i nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni tak naprawdę przyglądałem się domowi, a nie tylko prześlizgiwałem po nim spojrzeniem.

Larry Beukes zawsze dbał o swoją własność, starannie i energicznie jak pruski marszałek polny. Dwa razy w tygodniu, w ob-



cisłej koszulce, pchał ręczną kosiarkę, popisując się naprężonymi mięśniami opalonych ramion i skierowanym w niebo podbródkiem (miał cholernie dobrą postawę). Inne trawniki były zielone i porządne. Jego był bez skazy.

Gdy to wszystko się wydarzyło, miałem zaledwie trzynaście lat. Dopiero teraz rozumiem to, co wtedy do mnie nie docierało: sprawy wymykały się Lawrence'owi Beukesowi spod kontroli. Codziennie po trochu przestawał sobie radzić i dotrzymywał kroku niewygórowanym wymaganiom podmiejskiego życia, przerastała go nawet opieka nad kobietą, która sama nie potrafiła już o siebie zadbać. Myślałem, że tylko dzięki wrodzonemu optymizmowi i przyzwyczajeniu – albo, jeśli wolicie, wewnętrznej sprawności, podobnej do tej fizycznej – parł dalej i oszukiwał samego siebie, że ciągle daje radę.

Zacząłem się już zastanawiać, czy nie lepiej będzie odprowadzić Shelly z powrotem do mojego domu i tam z nią poczekać, kiedy na podjazd skręciła dziesięcioletnia ciemnoczerwona limuzyna pana Beukesa. Jechał jak uciekinier ścigany przez Starsky'ego i Hutch'a, a podczas skręcania uderzył jedną oponą o krawężnik. Wyskoczył na podwórko, cały spocony, i od razu potknął się tak, że omal nie upadł.

– O Jezu, tu jezdeź! Szukałem cię przez całą drogę do piekła i z powrotem! Prawie doznałem przez ciebie zawału.

Akcent Larry'ego przywodził na myśl apartheid, tortury i dyktatorów siedzących na poślaczonych tronach w marmurowych pałacach, po których ścianach biegały salamandry. Można się było nieźle pomylić, bo pan Beukes zarobił pieniądze, przerzucając żelazo, a nie krwawe diamenty. Nie był oczywiście bez wad – głosował na Reagana, twierdził, że Carl Weathers był wybitnym aktorem, i wzruszał się, słuchając Abby – ale szanował i kochał żonę i wobec tego słabości jego charakteru nie miały znaczenia.

– Coż ty robiła? – mówił dalej. – Wyszedłem tylko do pana Bannermana zpytać, czy ma detergent, wracam, a ty znikasz jak dziewczyna ze sztuczki Davida Copperfielda.

Chwycił Shelly za ręce, jakby chciał nią potrząsnąć, ale tylko ją objął. Popatrzył na mnie ponad jej ramieniem, a w jego oczach zaśniły łzy.

– Wszystko w porządku, panie Beukes – powiedziałem. – Nic jej nie jest. Trochę się... zgubiła.

– Nie zgubiłam się – odparła Shelly i uśmiechnęła się do męża porozumiewawczo. – Po prostu ukrywałam się przed Panem Polaroidem.

Pokręcił głową.

– Szzz. Zamilknij, kobieto. Zabierzmy dzie z tego złońdza i... o Panie, twoje ztopy! Powinienem cię zmusidź, żebyż je zdjęła, zannim wejdiesz. Nanieziesz wrzędzie brudu.

Jego słowa były oschłe, ale oczy miał wilgotne, a głos zachrypły od zranionych uczuć, jakby mówił do ukochanego starego kota, który wdał się w bójkę i wrócił do domu bez ucha.

Minął mnie, wspiął się po ceglanych schodkach i wszedł do środka. Uznałem, że już o mnie zapomniał, i miałem sobie pójść, kiedy on odwrócił się i stuknął mnie drżącym palcem w nos.

– Mam coś dla dziebie – powiedział. – Nie odfruwaj jeszcze, Michaelu Figlione.

I zatrzaskał drzwi.

2

Jakkolwiek na to spojrzeć, wybrał zabawne słowo. Nie było nawet szansy, że „odfrunę”. Pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy, była moja nadwaga. Byłem gruby. Nie „grubokościsty”. Nie „masywny”. I z pewnością nie „puszysty”. Kiedy przechodziłem przez kuchnię, szklanki brzęczały w kredensie. Kiedy stałem pomiędzy innymi dziećmi z ósmej klasy, wyglądałem jak bawół pośród piesków preriowych.

Dzisiaj, w czasach mediów społecznościowych, ludzie ostrzej reagują na drwiny i jeśli nazwiesz kogoś grubą dupą, zaraz sam oberwiesz. Ale w 1988 roku „ćwierkaniem” nazywano to, co robiły wróble i podlotki. A ja byłem gruby i samotny – w tamtych latach pierwsze oznaczało drugie. Miałem mnóstwo czasu, żeby odprowadzać staruszki do domu. I nie zaniedbywałem kumpli. Ponieważ nie miałem żadnych. W każdym razie nikogo w moim wieku. Ojciec czasem woził mnie na comiesięczne spotkania klubu zwanego SUWR SF (Spotkania Użytkowników i Wielbicieli Robotów z San Francisco), ale większość dzieciaków była tam starsza niż ja. I wszyscy wyglądali już jak z dowcipu. Nawet nie muszę ich opisywać, sami możecie sobie wyobrazić: kiepska cera, grube okulary, rozpięte rozporki. W tym towarzystwie nie tylko uczyłem się o płytkach z obwodami. Widziałem na własne oczy swoją przy-

szłość: depresyjne rozmowy o *Star Treku* do późna w nocy i życie w celibacie.

Niespecjalnie pomagał fakt, że nazywam się Figlione, co w slangu uczniów podstawówki z lat osiemdziesiątych łatwo przekręcało się na Figiel-Balon lub Figiel-Homo albo po prostu Figiel. Przydomki te nosiłem do dwudziestego roku życia, przyklejone jak guma do żucia do podeszwy adidasów. Nawet mój ulubiony nauczyciel przedmiotów ścisłych w piątej klasie, pan Kent, raz nazwał mnie przez przypadek Figielkiem, czym wywołał wybuch śmiechu. Przy najmniej miał na tyle przyzwoitości, żeby się zmieszać, zaczerwienić i przeprosić.

W sumie mogło być gorzej. Byłem miły i porządny, a że nigdy nie uczyłem się francuskiego, nie trafiłem na listę przemądrzałych, wszystkowiedzących prymusów, którzy aż się prosili, żeby skopać im tyłek. Doświadczałem tylko od czasu do czasu drobnych upokorzeń, a sprowokowany, zawsze uśmiechałem się pobłaźliwie, jakby to drogi przyjaciel przetaił mną podłogę. Shelly Beukes nie mogła pamiętać, co było wczoraj. Ja z kolei nie chciałem.

Drzwi znowu się otworzyły i stanął w nich Larry Beukes. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak ociera wilgotny policzek wielką, poznaczoną odciskami dłonią. Speszylem się i spojrzałem w drugą stronę, na ulicę. Nie miałem wcześniej do czynienia z płaczącymi dorosłymi. Mój ojciec nie był jakoś szczególnie emocjonalny, a i matce płacz chyba nie przychodził łatwo, chociaż tego akurat nie byłem pewny. Widywałem ją tylko przez dwa albo trzy miesiące w roku. Larry Beukes pochodził z Afryki, a moja matka pojechała tam w związku z projektem antropologicznym i w pewnym sensie nigdy nie wróciła. Nawet kiedy była w domu, jakaś jej część znajdowała się prawie dziesięć tysięcy kilometrów od nas, poza zasięgiem. W tamtym czasie mnie to nie złościło. Dzieciom do złości potrzebna jest bliskość. To się jednak zmienia.

– Zjeździłem dzałą okolidzę w poszukiwaniu tej cholernej, ograniczonej ztaruchy. To już trzedzi raz. Myślałem, że tym ra-



zem, tym razem weszła na szosę, między zamochody. Cholerna, głupia... dzięki, że przyprowadziła ją z powrotem. Niech dzie Bóg błogosławi, Michaelu Figlione. Niech Bóg błogosławi twoje zerce.

Wywrócił kieszeń na lewą stronę i wyleciały z niej pieniądze, zmięte banknoty i pojedyncze monety, które upadły na ścieżkę i trawę. Z przerażeniem zdałem sobie sprawę, że zamierza dać mi napiwek.

– O rany, panie Beukes. W porządku. Nie musi pan. Cieszę się, że mogłem pomóc. Nie chcę... Czuję się głupio, biorąc...

Zmrużył jedno oko i spojrzał na mnie drugim.

– To więcej niż nagroda. To jezd zapłata. – Schylił się, zgar-
nął jedną dziesięciodolarówkę i wręczył mi ją. – No, dalej, bierz.

Kiedy się wzbraniałem, wcisnął mi banknot do kieszonki z przodu hawajskiej koszuli.

– Michaelu. Jeżeli będę muział gdzieś pojechać... czy mogę do dziebie zadzwonić, żebyż się nią opiekował? Jezdem w domu cały dzień, nic nie robię, tylko zajmuję się tą szaloną kobietą, ale czasem muszę kupidź coś do jedzenia albo polecieć do jednej z tych ziłowni i gasidź jakiś pożar. Zawsze coś się pali. Każdy mięśniak, który dla mnie pradzuje, potrafi udźwignąć dwieście kilo, ale żaden nie potrafi zliczydź powyżej dziesiędziu. Bo im braknie paldzów. – Poklepał mnie po kieszonce z banknotem i wziął płaszcz żony, który ciągle zwiślał mi z ramienia, zapomniany jak serwetka przez kelnera. – No to co? Umowa ztoi?

– Jasne, panie Beukes. Shelly pilnowała mnie, jak byłem mały. Myślę, że mogę... mogę...

– Tak, bydź jej nianką. Wkroczyła w drugie dziecińzdwo, Boże, miej ją w swojej opiece i mnie też. Potrzebuję kogoż, kto nie pozwoli jej łazidź po okolicy. I szukadź tego typa.

– Pana Polaroida.

– Powiedziała dzi o nim?

Przytaknąłem.



Pokręcił głową, grzbietem dłoni przyglądził przerzedzone włosy wysmarowane brylantyną.

– Boję się, że któregoś dnia dziabnie nożem jakiegoś przechodnia, bo uzna, że to on. Och, Boże, co ja wtedy zrobię?

To nie było zbyt mądre opowiadać takie rzeczy dzieciakowi, którego chce się wynająć do opieki nad starą zdemenciałą żoną. W sumie mogłem się przestraszyć, że Shelly właśnie mnie weźmie za Pana Polaroida i dźgnie nożem. Ale Larry był rozkojarzony i zestresowany i chlapał językiem bez zastanowienia. Zresztą to nie miało znaczenia. Nie bałem się Shelly Beukes. Może i nie pamiętała, kim jestem i kim jest ona, nie zmieniało to jednak jej łagodnego charakteru. Ona po prostu nie mogła zrobić nic złego.

Larry Beukes popatrzył na mnie zmęczonymi, nabiegłymi krwią oczami.

– Michaelu, pewnego dnia będziesz bogatym człowiekiem. Pewnie zbierzesz fortunę, wymyślając przyszłość. Zrobisz coś dla mnie? Dla zwojego ztarego przyjaciela Larry'ego Beukeza, który od kilku lat okropnie się martwi o zwoją głupią żonę z owzianką zamiast mózgu? Kobieta, która dała mu więcej szczęścia, niż na to zasłużył?

Znowu płakał. Chciałem się schować. Zamiast tego przytaknąłem.

– Oczywiście, panie Beukes. Oczywiście.

– Wymyśl sposób, żeby się nie ztarzedz – powiedział. – To wszyszdgo jakiś cholerny, okropny żart. A ztarość i tak nikogo nie powstrzyma przed byciem młodym.

3

Odszedłem bez celu, ledwo zdając sobie sprawę z tego, że się poruszam, nie mówiąc już o tym, gdzie idę. Było mi gorąco, kręciło mi się w głowie i w kieszonce koszuli miałem dziesięć dolarów, których nie chciałem. Moje brudne adidas, model Run-DMC zaniósł mnie do najbliższego miejsca, gdzie mogłem się pozbyć tej forsy.

Po drugiej stronie drogi, naprzeciwko wjazdu do Golden Orchards, stała duża stacja Mobil: tuzin pomp i cudownie chłodny sklep, w którym można było kupić stripsy z suszonej wołowiny, chipsy cebulowe i – jeśli się było dostatecznie dorosłym – magazyny z gołymi babami. Tamtego lata pijałem „drinka” według własnej receptury, z kruszonym lodem: napełniałem prawie litrowy kubek lodem i colą waniliową, a na wierzch dawałem coś, co nazywało się Arctic Blu, miało kolor płynu do mycia szyb i smakowało trochę jak wiśnia, a trochę jak melon. Zwariowałem na punkcie tego napoju, chociaż dzisiaj pewnie nawet bym go nie tknął. Dla mojego czterdziestoletniego podniebienia byłby smutkiem nastolatka.

Idąc tak i rozmyślając o Arctic Blu Coca-Cola Special, zorientowałem się, gdzie jestem, dopiero kiedy zobaczyłem znak Mobil, czyli czerwonego Pegaza obracającego się na dwunastometrowym słupie. Parking został niedawno pokryty świeżym asfaltem, czar-

nym i grubym jak czekoladowe ciasto. Gorąco odbijało się od niego i całe miejsce lekko falowało, jak oaza widziana w fatamorganie przez człowieka, który umiera z pragnienia. Nie zauważyłem ani białego cadillaca przy pompie numer dziesięć, ani stojącego obok faceta, dopóki się do mnie nie odezwał.

– Hej – powiedział, a kiedy nie zareagowałem (szedłem jak we śnie, z powodu gorąca), powtórzył mniej miłym głosem: – Hej, ciasteczkowy potworze!

Tym razem go usłyszałem. Mój radar, dostrojony do każdego dźwięku, który mógł oznaczać, że oberwę, zapiszczał przy „ciasteczkowym potworze”, zaalarmowany tonem mężczyzny, pełnym lekkiej pogardy.

On sam raczej nie powinien śmiać się z wyglądu innych ludzi. Nie chodziło o ciuchy. Ubrany był dość dobrze, chociaż nie na tę okazję: w takich ciuszkach lepiej prezentowałby się na tle drzwi wejściowych klubu nocnego w San Francisco niż obok pompy na stacji Mobila na zadupiu kalifornijskiego przedmieścia. Miała na sobie czarną jedwabną koszulę z krótkimi rękawami i ze szklanymi czerwonymi guzikami, długie, czarne spodnie z kantem jak brzytwa oraz czarne kowbojskie buty haftowane czerwoną i białą nicią.

Był jednak okropnie brzydki: miał podbródek cofnięty prawie aż do długiej szyi, a policzki poznaczone starymi bliznami po trądziku. Jego opalone na brązowo przedramiona pokryte były czarnymi tatuażami; linie odręcznego pisma owijały jego ręce aż po nadgarstki długimi węzowymi splotami. Na piersiach zwiślał mu krawat bolo z zapinką z przezroczystego plastiku. W środku widać było zwiniętego żółtawego skorpiona.

– Tak, proszę pana? – spytałem.

– Idziesz do sklepu? Po batona albo coś takiego?

Wetknął pistolet dystrybutora do otworu baku w swoim wielkim, białym krążowniku.

– Tak, proszę pana – powiedziałem, myśląc: Ssij mi batona, dupku.



Sięgnął do przedniej kieszeni i wysupłał zwitek pożółkłych, brudnych banknotów. Wyłuskał z niego dwudziestkę.

– Wiesz co, zanieś to do środka, powiedz im, żeby włączyli pompę dziesięć i... Hej, tępaku, mówię do ciebie. Słuchaj.

Odpłynąłem na moment, bo moje spojrzenie przyciągnął przedmiot leżący na bagażniku cadillaca: aparat Polaroida.

Chyba wiecie, jak wygląda polaroid, nawet jeśli jesteście młodzi i nigdy nie mieliście żadnego w ręce. Oryginalny polaroid instant był swego czasu ikoną: i dzięki designowi, i technologii. Był esencją lat osiemdziesiątych, jak Pac-Man i Reagan.

Dzisiaj każdy ma w kieszeni aparat, a oglądanie zdjęć zaraz po ich zrobieniu to nic takiego. Ale latem 1988 roku polaroid był jednym z nielicznych urządzeń, które pozwalały strzelić fotkę i prawie od razu ją wywołać. Aparat wypluwał gruby, biały kartonik z szarym prostokątem kliszy w środku i po kilku minutach – szybciej, jeśli machało się kartonikiem, żeby aktywować substancję chemiczną – obraz wypływał z ciemności na powierzchnię i stawał się fotografią. Wtedy była to najnowsza technologia.

Kiedy zobaczyłem aparat, wiedziałem, że to on, ten facet – Pan Polaroid, przed którym ukrywała się pani Beukes. Przebiegły jak łasica w swoim białym cadillacu kabriolecie z czerwonym dachem i czerwonymi siedzeniami. Rzucił się w oczy jak skurwysyn.

Byłem oczywiście świadomy, że cokolwiek pani Beukes twierdziła na temat tego faceta, nie były to fakty, tylko ślepe strzały z krztuszącego się silnika, który zaraz wysiadzie. Ale jej słowa: „Nie pozwól się sfotografować” nie chciały się ode mnie odzepić. Kiedy poskładałem wszystko do kupy, kiedy zdałem sobie sprawę, że Pan Polaroid to nie starcza fantazja, lecz prawdziwy gość, stojący tuż przede mną, moje plecy i ramiona pokryła gęsia skórka.

– Uch... tak, proszę pana? Słucham.

– No już – rzucił. – Weź tę dwudziestkę i powiedz im, żeby włączyli pompę. Pan Caddy jest spragniony, ale wiesz co, dzieciaku? Reszta jest twoja. Kup sobie książkę o dietach.

Nawet się nie zaczerwieniłem. Byłem półprzytomny, jego obraźliwe słowa ledwo musnęły moją świadomość.

Zerknąłem jeszcze raz i zorientowałem się, że to nie jest polaroid. A raczej nie do końca. Znałem te aparaty dość dobrze – kilka z nich rozebrałem na części – i ten wyglądał odrobinę inaczej. Przede wszystkim był czarny z czerwonym przodem, pod kolor samochodu i ubrań. Ale był też po prostu... inny. Bardziej obły. Leżał na bagażniku, w zasięgu ręki Pana Przebiegłego, lekko odwrócony, więc nie mogłem dostrzec nazwy firmy. Konica? Od razu jednak uderzyło mnie coś jeszcze innego. Polaroid miał szufladkę na zawiasach, otwieraną z przodu, gdzie ładowało się paczkę klisz. Nie mogłem dojrzeć, jak ładowało się ten sprzęt. Ale wydawało się, że został wykonany z jednego gładkiego kawałka.

Facet zauważył, że gapię się na aparat, i zrobił coś dziwnego: obronnym gestem położył na nim rękę, jak starsza pani ściskająca torebkę, kiedy na ulicy mija ją paru osiłków. Drugą dłoń, tę z wymemlaną dwudziestką, wyciągnął przed siebie.

Obszedłem tylny zderzak i sięgnąłem po pieniądze. Moje spojrzenie przesunęło się po literach obiegających przedramię faceta. Nie rozpoznałem alfabetu, ale przypominał hebrajski.

- Fajny napis – powiedziałem. – Co to za język?
- Fenicki.
- Co tam jest napisane?
- „Nie wkurwiał mnie”. Albo coś w tym stylu.

Wetknąłem pieniądze do kieszonki koszuli i zacząłem się cofać od nieznanego. Za bardzo się bałem, żeby odwrócić się do niego plecami.

Nie patrzyłem, gdzie idę, i zniosło mnie z kursu: wpadłem na tylny błotnik i omal się nie przewróciłem. Chwyciłem za bagażnik, żeby złapać równowagę, i wtedy zobaczyłem albumy ze zdjęciami.

Chyba z tuzin ich leżał na tylnym siedzeniu. Jeden był otwarty i dostrzegłem polaroidowe fotografie wsunięte w foliowe koszulki, po cztery na każdej stronie. Na zdjęciach nie było nic specjalnego.



Prześwietlone ujęcie starego człowieka zdmuchującego świeczki na tortcie. Zmoczony deszczem corgi wpatrujący się w obiektyw smutnymi, głodnymi oczami. Napakowany koleś w idiotycznym pomarańczowym podkoszulku, siedzący na masce pontiaca trans am, żywcem wyjęty z serialu *Nieustraszony*.

To ostatnie zdjęcie zwróciło moją uwagę. Wydawało mi się, że znam tego chłopaka w podkoszulku. Być może z telewizji, niewykluczone, że był wrestlerem i wpadł na ring na kilka rund z Hulkiem Hoganem.

– Ma pan dużo fotografii – powiedziałem.

– Taka moja robota. Jestem skautem.

– Skautem?

– Pracuję przy filmach. Jak widzę interesujące miejsce, robię mu zdjęcie. Widzę ciekawą twarz, też ją fotografuję. – Uniósł jeden kącik ust i pokazał krzywe zęby. – Po co? Chcesz wystąpić w filmie, dzieciaku? Chcesz, żebym zrobił ci zdjęcie? No wiesz, nigdy nie wiadomo. Może jakiemuś agentowi od obsady spodoba się twoja buźka. I zanim się zorientujesz... Hollywood, dzieciно.

Nie podobał mi się sposób, w jaki dotykał aparatu, z jakąś nerwową gorliwością.

Nawet w teoretycznie bardziej niewinnych latach osiemdziesiątych nie miałem ochoty pozować do zdjęć facetowi, który wyglądał, jakby kupował ciuchy w firmie Między Nami Pedofilami. No i pamiętałem to, co mi powiedziała Shelly: „Nie pozwól się sфотографować”. To ostrzeżenie było jak jadowity pająk z włoskami nogami, pełznący w dół po moim kręgosłupie.

– Raczej nie – odparłem. – Mogę się nie zmieścić w kadrze.

Obiema rękami pokazałem kałdun rozpychający się pod moją koszulą.

Przez moment wybałuszał oczy zanurzone w jego zniszczonej twarzy, a potem zarżał chropawym końskim śmiechem, w którym słychać było i niedowierzenie, i prawdziwe rozbawienie. Wycelował we mnie palcem i przygiął kciuk jak do spustu pistoletu.